

8545

Do 8512. dnia mojego życia pozostawałem samotnym, smutnym i samotnym przypadkiem kompleksowym. Nie miałem znajomych, a jak już jacyś się znaleźli, to szybko okazywało się, że albo oni nie mają mnie wcale, albo wręcz przeciwnie – mają i to w tak głębokim poważaniu, że sraczkowate amerykańskie kaniony z zapaskudzonych potem listonosza pocztówek nie mogłyby się powstydić. Oczywiście, gdyby mój los cokolwiek je obchodził. Nikt do mnie nie dzwonił, nikt mnie nie odwiedzał, a list, nie pocztówkę, dostałem tylko raz: od Wojskowej Komisji Uzupelnień. Na spotkanie z wyżej wymienioną szykowałem się bite w ciemność dwa tygodnie, ale już na miejscu dostałem ataku astmy i zaplułem całe Wielce Szanowne Ciało Oficerskie. Kiedy odzyskałem przytomność, okazało się, że otrzymałem nowe wezwanie – tym razem na kolegium oraz zupełnie za gratis kategorię F. „F” jak fajnie, mówiła Mama, ale Mama to już zawsze powie coś, żeby Misiowi-Pysiowi było miło. To nie było nawet pasmo niepowodzeń, poniżeń i upodleń, tylko niekończąca się czteropasmówka donikąd albo jeszcze gorzej. I trwało to dokładnie 8511 dni, 12 godzin, 8 minut i chyba 12 lub 13 sekund. Nie wiem zresztą. Słońce jakieś takie zasłonięte wówczas było. W każdym bądź co bądź razie, Rodzice, w składzie Mama, Tata i Babcia, orzekli, że dość, że wystarczy, że już, że nie mogą i że wynajmą mi mieszkanie, co bym może awansował w hierarchii społecznej ze spluwaczki przynajmniej na podnózek.

Na początku miało być mieszkanie. Potem okazało się, że kasy starczy tylko na pokój przy jakiejś rodzinie, a jeszcze później bilans wykazał, że musiałyby być to rodzina o długich tradycjach patologicznych. Nie poddawałem się jednak, przed oczami – przed oknem właściwie, bo lewe straciłem, grając w hula-hoop w wieku 2243 dni – stała mi wciąż wizja poranionych imprez, które nobilitowałyby mnie jako gospodarza. Miało być tak pięknie albo chociaż pięknie.

Wreszcie 8541. dnia mojego życia zadzwonił telefon. Nie odebrałem, ponieważ Rodzice zabraniają mi podnosić słuchawkę od czasu, gdy mając niespełna 5439 dni, złamałem sobie przy tym rękę i dostałem porażenia prawej części ciała powyżej bioder. Rozmawiał Tata za pośrednictwem Babci, która jest umiarkowanie dobra w te klocki. Okazało się, że jakiś Emeryt ma do wynajęcia bardzo dobrą kwaterę. Tanio i od zaraz. Bezbożny plan zbliżał się do etapu realizacji.

Na miejscu okazało się, że lokal jest pierwszorzędny. Miejsca może trochę mało i wilgoci nad stan, ale kto zaprzętałby sobie reumatyzm takimi przyziemnymi niedogodnościami. A sama budowla to już najprawdziwszy rarytas sztuki w stylu retro-nekro. Bodaj od trzech pokoleń zamieszkaną przez rodzinę pana Emeryta lastrykowy grobowiec przy najlepszej alei Powązek. Ponieważ pan Emeryt trzymał się całkiem nieźle jak na swoje dni i choć co drugie słowo wypluwał sobie lewe płuco, bo prawe stracił w bardzo podobnych okolicznościach jak ja (Rodzice nie przez przypadek reklamowali te sardynki w sosie pomidorowym), na tamten świat się nie wybierał. Tym bardziej, że był praktykującym ateistą i w żadne inne światy poza Trzecim nie wierzył. Miejsce było więc całkiem puste i całkiem do wynajęcia.

Miałem mieszkać nad jego żoną. Bardzo miła kobieta. Trochę martwa, ale bardzo zadbana jak na swój stan rozkładu! Emeryt co prawda ostrzegwał, że żona nie należy do najrozmowniejszych i okresowo z lekka pośmierduje, lecz drugiej takiej szukać ze zniczem. Jak zresztą uskarżać się na kogoś, z kim w takim krótkim pożyciu człowieka połączyło tak wiele? Nic nie zbliża bardziej niż taplanie się w czyimś trupim soku.

A dlaczego krótkim pożyciu? Ech... Ych... Och... Początki były wręcz przepisowo przecudowne. Bardzo ciche i spokojne sąsiedztwo, cieć na stróżówce chyba dla towarzystwa zapity w trupa i jeszcze te bezmyślnie pochylone szumiące wierzby. A może wierzące oszołomy? Nie pamiętam. To działo się zbyt szybko. Całe zajęcia w specjalnej szkole integracyjnej odliczałem minuty,

sekundy i kroki do powrotu na chatę. Na moją chatę. Przez to podniecenie musieli mi nieco częściej niż zwykle zmieniać pieluchy, ale nawet karne bicie po jedynej pozostałej mi po wypadku z chomikiem nerce nie było w stanie popsuć najlepszego humoru.

Początkowo po mieście rozeszła się wieść, że zapadłem się pod ziemię, co, przyznaję, w jakimś stopniu pokrywało się z prawdą. Potem jednak ktoś puścił niusa, że mieszkam na swoim i zaczęło się najpiękniejsze trzy i pół dnia w moim życiu. Zarośnięci faceci, których wcześniej na oko nie widziałem, złązili się ze wszystkich ujść rynsztoka, żeby w objęciach plugawych na jedną nogę kobiet tańczyć do świtu niemiłosiernie siąpiącego deszczem po nagrobku. Żona Emeryta nigdy nie zgłaszała zastrzeżeń, choć raz wybuchł mały skandal towarzyski po tym, jak ktoś zwędził jej goleń. U programowo zapitego ciecica udało mi się jednak po dumpingowej cenie zdobyć niemal toczka w toczkę identyczny. Wieniec przeprosinowy dopełnił sprawy.

Ze mną nikt na bankietach nie rozmawiał. Nie wiem nawet, czy wåsaci amanci spod zdezelowanych śmietników i tanie barszczem kurwy wiedziały, kto zacz. Większość brała mnie pewnie za kolejnego nieboszczyka albo niedbale porzucone przez cmentarnego psa ścierwo z kością, jednak dla mnie najważniejsze było to, że nareszcie mogłem obracać się wśród ludzi, którzy są w stanie wyartykułować przynajmniej swoje potrzeby fizjologiczne.

Pod nami, to znaczy pode mną i pod żoną Emeryta, mieszkał jeszcze jakiś jego daleki wuj, który był przegrał z czerwonką i cioteczna babcia samobójczyni. Jednak nigdy nie dane mi było poznać ich osobiście, a na prywatkach praktycznie nie bywali. Co by jednak nie mówić, oboje bardzo porządni ludzie. On katolik, ona wierząca.

I tak impreza trwałaby w nieskończoność albo przynajmniej dopóki nie wykończyłaby mnie do resztek gangrena, lecz do wszystkiego wmieszał się proboszcz. Jakiś ministrant aktywista w poczuciu dobrze spełnianego obowiązku doniósł na nasz grób i na wyrok nie trzeba było długo czekać. Następnego dnia

komisyjnie zarządzono moją ekshumację. Przy okazji oberwało się także żonie Emeryta, którą przeniesiono w bardzo przewiewne miejsce. Nie dość, że mi głupio, to teraz jeszcze się obawiam, żeby jej to nie zaszkodziło, bo biedaczka jest raczej wątłej śmierci. Grób powyżej dalekiego wuja katolika zrównano z ziemią, a posesję proboszcz jeszcze wieczorem opylił pod natychmiastową zabudowę pewnemu szczęśliwemu małżeństwu ze zdychającą babcią.

Emeryt strasznie się tym przejął. Do tego stopnia, że wziął i umarł. Przy najmniej problem z odszkodowaniem rozwiązał się dzięki opatrności w ten niespodziewany sposób. Nie mieliśmy jednak serca zostawiać go tak na pastwę jego zachudzonego ratlerka, więc Rodzice postanowili zabrać jego niedorzeczne szczątki do nas, na lepsze czasy. Po tym, jak przy ostatnim rozmrażaniu lodówki zgubiliśmy gdzieś sąsiadkę z trzeciego piętra, mieliśmy i tak wakat koło mrożonych truskawek.

A ja wróciłem do domu i teraz znowu mieszkam z Rodzicami, z tym że jestem jeszcze bardziej samotny, bardziej smutny i bardziej samotny. Mam już 8545 dni, a nasz lekarz domowy mówi, że spokojnie powinienem doczekać do sześćdziesiątki, znaczy się: osiem tysięcy pięćset sześćdziesiątki. I nikt nie woła, i nikomu, choć bije po nerkach, nie bije dzwon.